Filmowe miasto wczoraj i dziś

Napisano dnia: 2016-01-29 21:39:21

BYSTRZYCA KŁODZKA. To miasto coraz bardziej podkreśla swoje silne związki z kinematografią polską; w przeszłości służyło za plan wielu filmów fabularnych i dokumentalnych. Nie inaczej jest współcześnie, bo co rusz w nim pojawiają się kolejne ekipy realizujące ciekawe obrazy, przyjeżdżają też znani bądź wschodzący reżyserzy i aktorzy. Dzięki temu mieszkańcy mogą z nimi spotkać się oraz porozmawiać o ich pracy, odgrywanych rolach, ale i postrzeganiu Bystrzycy Kłodzkiej i okolic.

Ciekawą postacią okazał się zasłużony dla kina polskiego twórca, z którym rozmawiał przedstawiciel tygodnika „Euroregio Glacensis". Oto treść tej publikacji:

„Nikt nie woła" na bis

ROZMOWA Z KAZIMIERZEM KUTZEM, REŻYSEREM FILMOWYM

Mija 55 lat od chwili, jak na ekrany kin wszedł film pt. „Nikt nie woła", którego to pan był inscenizatorem. Dlaczego Kazimierz Kutz, wtedy 31-letni reżyser, zdecydował się na ekranizację powieści Józefa Hena?

- Z normalnych pobudek. Jak się ma opracowany scenariusz i pomysł na film, to szuka się aktorów i najlepszego miejsca dla jego zrealizowania. Ale od razu powiem, że Hen z fabułą „Nikt nie woła" raczej nic wspólnego nie miał. Kierownik literacki Tadeusz Konwicki przyniósł jego książkę, która wtedy leżała w cenzurze przez wiele lat, i stwierdził, że to jest dla mnie jak raz na pierwszy film. Ale już wtedy z Jerzym Wójcikiem od zdjęć mieliśmy swoją koncepcję obrazu; z książki wzięliśmy jedynie wątek miłosny, który ma miejsce w Rosji podczas wojny. A tak z tej powieści nie zostało wzięte nic ponad to, co wspomniałem. Sam Józef Hen był zszokowany, że udało nam się zrobić film tak niezwykły i zarazem na tamte lata kontrowersyjny. Tak. Za niego mnie chcieli z pracy wyrzucić towarzysze partyjni, którzy wówczas wszystko w kulturze cenzurowali.

Od pierwszych dni emisji tego obrazu zaczął on napotykać na przeszkody. W kraju nie wszędzie decydowano się na jego wyświetlanie – taka sytuacja trwała niemal przez ćwierć wieku. Przez 25 lat on nie stanowił też produktu eksportowego. Co tego, według pana, było przyczyną?

- To i dla mnie było ogromne dziwactwo. Ten film nie ma nic wspólnego z polityką. Odsuwano go od projekcji za tzw. formalizm. Podczas jego kręcenia zerwaliśmy bowiem z dotychczasowym sposobem opowiadania fabuły i gry aktorskiej.

Ale, jak sądzę, taką ogólniejszą przyczyną było to, że wyszliśmy z tym filmem po tej pierwszej erupcji wolności w Polsce, czyli po październiku 1956 r., i te wszystkie środowiska artystyczne – patrząc z pozycji PZPR – bardzo się rozbisurmaniły. Znaleźli mnie, młodą osobę, za którą nikt nie stał, i na moim przykładzie starali się przestraszyć środowisko filmowe i być może literackie, w jakiś sposób je sobie podporządkować. Pamiętam, że w tamtym czasie lżono ze mnie, wstrzymano dystrybucję obrazu, później zaś zezwolono na wykonanie dwóch kopii prezentowanych głównie w domach Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Przy tym film obłożony został zakazem wywożenia go z kraju przez 25 lat, ja nie mogłem przez kilka lat wyjeżdżać z Polski i współpracować z Jerzym Wójcikiem. Przez trzy lata byłem też odsunięty od reżyserowania z nakazem, abym zaczął żyć od nowa.

Przyznam, że nakręcając ten film mieliśmy świadomość czekających nas kłopotów. Uznaliśmy jednak, że jego ważność dla kina polskiego uświęca środki. Bo to była próba wdrożenia oryginalnego języka filmowego w polskim wydaniu, w oparciu o to, co wynieśliśmy ze szkoły filmowej. To był wyczyn estetyczny, który teraz, odnowiony i puszczony do internetu przeżywa swoje drugie narodziny. A ja cieszę się, że to moje

ponadpółwieczne dziecko wzbudziło takie zainteresowanie.

Reżyser swój film osadził w realiach Bystrzycy Kłodzkiej. Przypadek czy przemyślany wybór uczynienia właśnie z niej Zielna, to jest miasteczka położonego gdzieś na zachodzie powojennej Polski?

- To była niesłychanie długo przygotowywana realizacja. Ponieważ obraz dotyczy ziem odzyskanych, mówi o tym, jak w puste miasto wchodzi żywioł polski i organizuje się w nim życie, zjechałem kilkadziesiąt miasteczek, trafiając w końcu do Bystrzycy Kłodzkiej. Ona była tym jedynym dla mnie miejscem dla filmu „Nikt nie woła". Z operatorem chodziliśmy po niej przez cały tydzień, wybierając miejsca i ściany ważne dla ujęć zdjęciowych, ustalając kolejność kręcenia scen. To była gigantyczna praca. Wtedy traktowaliśmy to miasto jako źródło nowoczesnej, fenomenalnej plastyki. Bo opowiadaliśmy obrazem a nie literacko. Ot, choćby scena z Barbarą Kraftówną, pół-Ukrainką, która śpiewa piosenkę erotyczną do chłopca będącego za drzwiami. Ona po prostu tam wyje, jak suka do księżyca, ponieważ się zakochała…

W tym obrazie wymyśliłem swój język filmowy i… przecierpiałem to wszystko, gdyż to była próba charakteru. Trzeba było mieć bardzo dużo odwagi, żeby coś takiego zrobić. Nie tylko sprostałem temu, ale zwyciężyłem. Bez tego filmu nie powstałaby cała ta seria śląskich filmów w moim stylu.

Jak pan postrzega Bystrzycę Kłodzką po 55 latach nieobecności w niej? Czy tkwi nadal architektonicznie i mentalnie w okresie powyzwoleńczym?

- Wtedy, w roku 1960, nie miałem czasu, żeby to miasto zwiedzać. Ale pamiętam, że jak wszystkie na ziemiach zachodnich ono było strasznie zaniedbane. Panował tu taki zdechły klimat, m.in. z racji wymieszania się kilku kultur i panowania takiego przekonania, że Polacy są tu tymczasowo. Dlatego nie ruszano wielu obiektów czy infrastruktury. Jednak teraz, po tych 55 latach oglądam Bystrzycę i jestem nią zachwycony – to jest niewiarygodnie piękne miasto. Widać, że jest w nim dobry gospodarz, mimo iż nie ma tu za wiele miejsc pracy i budżet jest skromny. Dobrze, że ono pozostaje w rękach samorządowców, poza władzą polityków. Mam dowód, że można funkcjonować i rozwijać się w miarę normalnie.

Panie Kazimierzu, jak mało kto (a może jedyny) z polskich reżyserów w swojej twórczości filmowej sporo miejsca poświęcił pan Górnemu Śląskowi i górnikom. Czy wynika to tylko z miejsca pańskiego urodzenia i wychowania, czy może z jakichś jeszcze innych przyczyn?

- Urodziłem się w Szopienicach, gdzie były dwie huty i trzy kopalnie. Moi dziadkowie byli górnikami. Byłem pierwszy, który z rodziny poszedł do szkoły średniej. Chciałem zostać pisarzem, bo wcześniej dużo książek czytałem. Ale skończyłem szkołę filmową i losy potoczyły się inaczej. Chociaż tym pisarzem pozostałem, bo wszystkie filmy dotyczące Śląska sam sobie pisałem. Aha, przecież napisałem książkę pt. „W piątą stronę świata".

Kiedy już dorosłem, dobrnąłem do czterdziestu lat i miałem swoją pozycję, m.in. dzięki filmowi „Nikt nie woła", przy tym swoje nazwisko w środowisku, stwierdziłem, że muszę wrócić i opowiedzieć o tym, skąd się wziąłem. Machnąłem pięć czy sześć filmów śląskich, stworzyłem jako jedyny taką regionalną monografię artystyczną – szopienicką, jednocześnie kilka filmów z uwagi na swój poziom artystyczny stało się jednymi z najważniejszych w polskim kinie.

A co pana pociąga w polityce, że zdecydował się ubiegać o mandat senatora obecnej kadencji, również wystartować w ubiegłorocznych zmaganiach o mandat eurodeputowanego?

- Zostałem facetem, takim symbolem osoby, która zna się na Śląsku. Moi ziomkowie o lewicowych poglądach zaproponowali mi, abym był ich reprezentantem w parlamencie. Zgodziłem się, bo jako reżyser powoli schodziłem z areny zawodowej, a po drugie uznałem, że to będzie możliwość zrobienia czegoś pozytywnego dla ważnego regionu. Oczywiście, nic mi specjalnego nie udało się zrobić, bo nigdy nie byłem w żadnej partii, poza tym nie znalazłem wsparcia wśród tych sześćdziesięciu kilku parlamentarzystów ze Śląska. Jednak tam, gdzie mogłem, a zawsze byłem w ważnych komisjach, stawałem na głowie, aby ustawy, które wchodzą, jak

najbardziej odpartyjnić, uczynić prospołecznymi.

„Przepchnąłem” ustawę o Instytucie Filmowym. Nieskromnie powiem, że gdyby mnie nie było w komisji kultury, to nie byłoby tego dokumentu. Faktem jest, że nie robiłem żadnych interpelacji, które niczemu, poza statystyką, nie służą. Dla mnie są ważne konkrety.

Podczas ostatnich wyborów Janusz Palikot był jedynym człowiekiem, który wstawił w program swojej partii sprawy Śląska, w tym projekt ustawy o etniczności Ślązaków. Przystałem do jego ruchu, ale nic z tego projektu nie wyszło. Uznałem to za swoją porażkę, pożegnaliśmy się i daję sobie spokój z parlamentem.

Co jeszcze artystycznie teraz zakrząta pańską głowę? Będzie coś nowego, jeśli chodzi o film czy teatr?

- Z tym już skończyłem dobre 10 lat temu. Natomiast od 12 lat piszę bardzo osobiste felietony do jednej z gazet górnośląskich. Piszę to, co chcę, więc jestem osobą znienawidzoną przez urzędy i urzędników. Poza tym piszę autobiograficzną książkę o tym, jak wyglądała droga młodego człowieka od robotnika do środowiska twórczego i politycznego. Będą w niej środowiska artystyczne, literackie, salony warszawskie, będzie o wódce, seksie, machlojach. Tysiące ludzi poznałem przez ten czas, więc w sposób bezwstydny, z właściwym dla siebie językiem opiszę te wszystkie relacje, choćby o małżeństwach niektórych reżyserów. Słowem stworzę bestseller, który moim dzieciom zapewni jakieś tantiemy. A do Bystrzycy, rzecz jasna, chętnie znowu przyjadę.

Dziękuję za rozmowę

BOGUSŁAW BIEŃKOWSKI